

Jestem typem frontmana

Rozmowa. Gitarzysta basowy KRZYSZTOF ŚCIERAŃSKI o muzyce do baletu „Dwie Historie – jeden Taniec” w Operze Krakowskiej

– Cieszy się Pan z muzycznego powrotu do Krakowa?

– Choć mieszkam pod Warszawą, to wciąż czuję się krakus. Tego nie można się pozbyć. Tutaj się wychowałem, to wciąż jest moje miejsce. Kiedy zadzwonił do mnie dyrektor Bogusław Nowak z propozycją spektaklu, bardzo się ucieszyłem.

– Gra Pan muzykę jazzową, bluesową i rockową. Z którym gatunkiem najbardziej się Pan utożsamia?

– Tak naprawdę nigdy nie byłem na stałe w żadnym z tych gatunków. Najbardziej utożsamiam się ze swoją muzyką, czyli instrumentalną muzyką improwizowaną. Mam swój kwartet Krzysztof Ścierański New Quartet, w którym grają bardzo zdolni muzycy: saksofonista Michał Kobojek, pianista Zbigniew Jakubek i perkusista Przemysław Kuczyński. Gram też w zespole Laboratorium i String Connection. Czasami występuję w duecie z Markiem Bałatą i w grupie The Colors z Bernardem Maselim, Przemkiem Kuczyńskim i Dimą Gorelikiem.

– Zdarza się Panu być muzykiem sesyjnym?

– Muzykiem sesyjnym bywałem. Nigdy jednak nie byłem nim w pełnym tego słowa znaczeniu, bo to wymaga specjalnej dyscypliny. Trzeba przede wszystkim zapomnieć o sobie.

– Woli Pan rolę frontmana?

– Chyba tak. Świadczy o tym fakt, że gram solo na basie. Nikt normalny takich rzeczy nie robi (śmiej). Lubię być muzykiem sesyjnym, jeśli pozostawi mi się swobodne pole. Nie nadaję się tylko do czytania nut. W młodości miałem dysleksję i problemy z czytaniem nut.

– Jest Pan samoukiem?

– Niezupełnie, bo jednak chodziłem do szkół muzycznych. Przede wszystkim miałem jednak najlepszą szkołę grania, jaką można sobie wymarzyć. Zaczynałem, grając z najlepszymi muzykami w Polsce takimi jak Zbyszek Namysłowski, Tomasz Stańko, Krzesimir Dębski, Janusz Skowron, Andrzej Olejniczak, Wojtek Karolak i Tomek Szukalski.

– Grał Pan z wieloma instrumentalistami światowej sławy.

– Przede wszystkim ze znanymi perkusistami, m.in. z Cindy Blackman, żoną Carlosa Santany, fantastycznym Billem Brufordem z zespołu Yes, który grał też w grupie King Crimson, a także z Carlem Palmerem z Emerson, Lake & Palmer. Wspominam też współpracę z perkusistą i gitarzystą Buddym Milesem, współzałożycielem Band of Gypsies, który grał m.in. z Jimim Hendrixem.

– I oto po latach „wylądował” Pan w Operze Krakowskiej...

– Raczej nie. To dla mnie zaszczyt być w tak wspaniałej insty-



FOT. PAWEŁ ŁACHETA

W spektaklu Krzysztof Ścierański wykonuje swoją muzykę na żywo

tucji, która popiera sztukę. Opera jako gatunek jest mi dość obca. Doceniam jej wagę i artystów występujących w niej, ale to dla mnie zupełnie inny departament. Jeśli miałbym porównać, to trochę jak ministerstwo sprawiedliwości i ministerstwo spraw zagranicznych, w którym lepiej bym się odnalazł.

– W spektaklu „Dwie Historie – jeden Taniec” jako kompozytor i zarazem wykonawca znalazł się Pan mimo wszystko w sytuacji teatralnej, obcej muzyce jazzowej.

– To coś, do czego nie przywykłem. Muzyka improwizowana

daje mi wolność. Znając formy muzyczne można być wolnym człowiekiem i swobodnie sobie improwizować, grając inaczej każdego dnia. Założenie muzyki do spektaklu było takie, że bym przy zachowaniu wspólnego rytmu i określonej formy mógł cały czas improwizować. Mimo obecności różnych elektronicznych urządzeń, to wciąż jest żywa muzyka, przez to, że jest niedoskonała. Pewne brzmienia zostały przeze mnie wcześniej nagrane, bo nie jestem w stanie wszystkiego odtworzyć na żywo. Nagrywałem

więc sample, wgrałem rytmy, basy i tzw. pady akompaniujące, czyli harmonie. Do tego wszystkiego improwizuję na żywo na gitarze i na basie. Reaguję jednak cały czas na to, co robią tancerze.

– Pana muzyczna opowieść różni się od tej stworzonej przez Piotra Orzechowskiego.

– Piotr Orzechowski ma swoją, fortepianową wizję. Moja muzyka jest może mniej jazzowa i bardziej zrytmizowana, ale wciąż jest improwizowana i rozszerzona o moje muzyczne fascynacje. Stąd m.in. jednym z utworów jest „Brazylianka” z rytmem będącym czymś pomiędzy sambą a muzyką peruwiańską.

– Uważa Pan, że muzyka potrzebuje dodatkowego środka wyrazu w postaci tańca?

– Nie potrzebuje, ale może bardzo dobrze z tym tańcem korespondować. Muzyka, którą skomponowałem i którą wykonuję, może równie dobrze istnieć samodzielnie.

– Krakowski spektakl to nie tylko spotkanie dwóch muzycznych wizji, ale i dwóch pokoleń.

– Wcześniej nie znałem twórczości Piotra Orzechowskiego. Poznaliśmy się dopiero na próbie w Operze Krakowskiej i z miejsca zaczęliśmy grać wspólnie mollowego bluesa. Okazuje się, że porozumienie jest możliwe i można coś zrobić razem.

– Czy przekazuje Pan swoją wiedzę i umiejętności młodym gitarzystom?

– Przyznam, że bardzo rzadko. Nie mam tej cierpliwości, co nauczyciele. Czasami ktoś dzwoni i się umawia na lekcję. Ale co ja mogę nauczyć gościa, który skończył szkołę muzyczną i zna zasady harmonii? Chyba tego jak spóźniony się na koncert zagrać go tak, żeby wszystko było w najlepszym porządku. A spóźnić zdarzyło mi się parę razy, zawsze była to kwestia awarii samochodu albo korków (śmiej).

– Dużo czasu spędza Pan w samochodzie?

Moja praca polega na ciągłym podróżowaniu. Jestem przykładem kierowcy z własnym programem artystycznym. Różnica między mną a kierowcą tira jest taka, że kiedy ja przyjadę na miejsce, nie mogę napić się piwa. Mogę to zrobić dopiero po koncercie.

– Słucha Pan muzyki w czasie jazdy?

– Muzyka w drodze mi przeszkadza. W czasie jazdy zdarza mi się za to komponować muzykę w myślach. Lubię też słuchać ciekawych ludzi w radiu. To zabawne, bo w dzieciństwie jak coś mówili w radiu, to od razu przełączałem na inną stację. Dziś lubię słuchać interesujących rozmów o kulturze, historii i polityce. ©©

Rozmawiał Mateusz Borkowski